

Prawda kole w oczy

Głoszenie prawdy
w Polsce

Nazywa się „rozszałaniem partyjniactwem”

Dzień wczorajszy wykazał dobitnie, że wszystkie wiadomości „ABC”, dotyczące ostatniego przesilenia w Ministerstwie Skarbu były od początku do końca prawdziwe.

Stosunki u nas ułożyły się, niestety, w sposób tak wysoce niemoralny, że dla interesu partyjnego, koterijnego, grupowego, lub zgola innego — zwykłego „interesu” niektóre pisma zaprzeczają prawdzie z niespotykanym nigdzie na świecie tupetem.

Wczoraj właśnie, jedno z pism południowych, ujawniwszy z wido-

czną radością (oczywiście „w interesie Państwa”) w obie ręce od... rozszałanego partyjniactwa grubą pałą, zgromiło „ABC” cytując zdanie swego godnego partnera porannego, że „ABC” jest partyjnym dziennikiem dla analfabetów, na co wskazuje sam tytuł.

Otóż każdy dobrze wie, że „ABC” jest pismem rzeczywiście bezpartyjnym i niezależnym, a jeśli już chodzi o analfabetów, to jako walczące o zwycięstwo prawdy i moralności w życiu publicznym Polski, może się oczywiście przysłużyć tępieniu analfabetyzmu moralnego, którego, niestety, jest u nas aż nadto.



— Słuchaj Icek i cobys ty zrobil, gdybym ci dal sto złotych.
— Przedewszystkiem przerachowałbym je.

Zatarg pracy w Łodzi
Nowe komplikacje

ŁÓDŹ, 14.10. — Tel. wł. — Zatarg w przemyśle włókienniczym uległ dalszym komplikacjom. Wbrew wszelkim przewidywaniom, w dniu wczorajszym nie został on zlikwidowany, a to z winy przemysłowców, którzy na konferencję zwołaną przez inspektora pracy, nie przybyli. Rozgoryczeni tem robotnicy spisali jednostronny protokół, protestujący przeciwko lekceważeniu przez przemysłowców instytucji państwowej, t. j. inspektoratu pracy. Naogół wśród robotników w dalszym ciągu panuje różnica poglądów. Klasowcy za wszelką cenę nie chcą dopuścić do strajku, podczas gdy Związek Pracy, pozostający pod wpływami N. P. R. dąży do akcji strajkowej. Narazie sytuacja jest w dalszym ciągu niewyjaśniona.

Stosunki prawne
międzydzielnicowe
Nowa ustawa ogłoszona

W n-rze 101 Dziennika Ustaw ogłoszono ustawę o prawie właściwym dla wewnętrznych stosunków prawnych między poszczególnymi byłymi dzielnicami państwa. Ustawa ta wchodzi w życie dnia 13 listopada b. r. Rieczona ustawa obejmuje następujące działy: osoby, forma czynności prawnej, prawa rzeczowe, zobowiązania, prawa małżeńskie, stosunki między rodzicami a dziećmi, opieka i prawa spadkowe. Omawiana ustawa czyni zażość pilnej potrzebie uporządkowania stosunków prawnych międzydzielnicowych, zanim jednolite ustawodawstwo polskie nie przekreśli prawnych granic zaborów, dotychczas, niestety, stniejących. Równocześnie w tym samym n-rze 101 Dziennika Ustaw ogłoszono ustawę o prawie właściwym dla stosunków prywatnych międzynarodowych.

„A B C” prześwietla drożyznę
Jak ludzie różnych
zawodów ją odczuwają?

Sprzedawcy papierosów

P. Genowefa Florczak, pracuje przy drewnianem przedsiębiorstwie z godiem państwowego monopolu tytoniowego przy Nowym Świecie. Jakie są kłopoty jej fachu? P. Genowefa zaczyna od podatków: — Oplacamy ich rocznie na sumę około 400 zł., a zdarza się rok, że trzeba zapłacić i 500 zł. Placimy podatek obrotowy i opłatę za miejsce w Magistracie. Inwalidzi koncesję dostają wprawdzie za darmo, ale zato za miejsce płacić trzeba sumy; ja za swoje w kąciuku na rogu

Nowego Świata i Obożnej placę 170 zł., z tamtej strony ulicy to już placilibym 200 zł., a są jeszcze droższe miejsca, np. koło dworców, w Alejach Ujazdowskich. Te są po 300 zł. — A zarobki? — Zarobki wcale nie są tak duże, jak ludzie myślą. Za 15 lub 16 godzin pracy, — zaczynam sprzedawać o 7 rano a kończę o 11 wieczorem, utarguje się jakieś 78, 80 zł. Od tego dostajemy 9 proc., to znaczy 7 do 8 zł. dziennie. Żeby utargować 100 zł. dziennie, to znaczy, by zarobić 9 zł., trzeba już mieć bardzo dobry punkt

„Tryb doraźny” dla spraw prasowych
Nareszcie nastąpi uzdrowienie stosunków

„ABC” dowiaduje się z wiarygodnego źródła, że p. Minister Sprawiedliwości Meysztowicz w najbliższych dniach wyda okólnik, nakazujący wszystkim sądom Rzeczypospolitej rozpoznawanie t. zw. „spraw prasowych” (szerzenie niepokoju publicznego, zniesławienie w druku i t. p.) w trybie przyspieszonym, w ten sposób, żeby „prasówka” ukazywała się na wokandzie sądowej najpóźniej w sześć tygodni po wszczęciu sprawy. Cała uczciwa prasa polska niezawodnie przykłaśnie temu rozporządzeniu p. Ministra. Przy tej okazji warto zaznaczyć, że w Anglii sprawa prasowa ukazuje się na wokandzie najdalej w dwa miesiące po wszczęciu sprawy, nawet gdy przeprowadzane jest skomplikowane śledztwo wstępne. Tak samo jest w innych krajach. Nareszcie tak będzie i u nas.

Wojewoda Łódzki
udaje się na
stanowisko

Dziś w godzinach popołudniowych, po powrocie z urlopu, wyjeżdża do Łodzi celem objęcia stanowiska wojewody p. Władysław Jaszczolt, b. dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Min. Spraw. Wewn.

WYTWORNE
Jakićia Głowy

Fasony 1926/7 r.
Wielki wybór.

J. MŁODKOWSKI
Pl. Trzech Krzyży 18.

BOLESŁAW ORLIŃSKI.
Przedruk zastrzeżony.
Copyright by „ABC”. Warszawa.
Mój lot Warszawa-Tokio-Warszawa

Wczoraz poraz pierwszy zetknęliśmy się z przedstawicielami społeczeństwa japońskiego na bankiecie, wydanym przez gubernatora. Panie japońskie wręczyły nam kwiaty, nastrój był bardzo sympatyczny. Psuły nam humor jedynie komunikaty meteorologiczne, jakie nam dostarczano od czasu do czasu. Gdyśmy powrócili do hotelu, dostarczono nam jeszcze jeden komunikat, zupełnie już niepomyślny. Ku wspom japońskim zbliżał się od oceanu wielkiej siły tajfun. Ułożyliśmy się do snu, nie mając pewności, czy w następnym dniu będziemy mogli dotrzeć do Tokio. O piątej rano zgłosił się do hotelu naczelnik stacji meteorologicznej w towarzystwie trzech oficerów, przynosząc smutną dla nas wiadomość: lot do Tokio był w tym dniu niemożliwy. Tajfun szalał nad wyspami japońskimi. Ażoby mi uprzyjemnić ten przymusowy pobyt w Heidzio, oficerowie japońscy postanowili mi pokazać wszelkie rzeczy, mogące mnie zainteresować. Byłem jednak niepokieszony, — trzeci już dzień przecież zmarnowałem z powodu nieprzyjemnej aury. Samochodem odwieziono nas do prastarego cmentarza w okolicach Heidzio, gdzie grobowce z przed tysiąca lat kryły się w cieniu karłowatych sosen. Następnie, żeby przywrócić nas do rzeczywistości, zademonstrowali japończycy szkołę Geisz. Zyczliwość i pogoda tych młodych dziewcząt, była zgola rozbrajająca. Żałowałem wówczas bardzo, że w naszych gimnazjach nie uczą języka japońskiego. Wczoraz mieliśmy udać się razem z japończykami na koncert. Jakież było nasze zdziwienie, gdy oficerowie japońscy przybyli po nas już nie w mun-

durach i czapkach z czerwonymi otokami, lecz przyodziani w lekkie jedwabne kimona i sandały na bosą nogę. Żeby utrzymać się w tonie, pojechaliśmy na koncert na „Rikszach”. Poraz pierwszy w życiu używałem lokomocji ludzkiej i przyznam się szczerze, niesamowite wrażenie robiło na mnie ten kark człowieka, biegnącego ze znaczną szybkością podemną. Chyżość japońskiej rikszy odpowiada mniej więcej szybkości naszej dorożki konnej. Każdy taki bambusowy wózek jest zaopatrzony w trąbkę samochodową, za pomocą której podaje sygnały, przewidziane w przepisach ruchu kołowego. Sala koncertowa również była mało podobna do europejskiej. Przednia część widowni zamiast foteli, przykryta była matami, na których siedziały niewiasty. Nas usadzono z tyłu na krzesłach. Na niziutkiej estradzie wdzięczne małe japonki wydebywały z japońskich instrumentów „koto”, zwanych jakieś tęskne niezrozumiałe dla mnie dźwięki. W hotelu już czekał na nas inżynier ze stacji meteorologicznej. Meldunek był tym razem pocieszający. Wprawdzie tajfun jeszcze szeleje nad Japonją, lecz jutro prawdopodobnie już przejdzie dalej i lot będzie możliwy. Otucha wstąpiła w me serce. Nie mogłem odrazu zasnąć. Przecież nazajutrz miałem dotknąć kołami ładu japońskiego, — miałem stanąć u celu swej podróży. Noc była niezwykle duszna. Tajfun dawał się i tutaj we znaki. Olbrzymie, tropikalne moskity, natarczywie brzęcząc wlatyły pod siatkę i cięły boleśnie skórę... Wreszcie usnąłem. Tej nocy już nie śniło mi się lotnisko Mokotowskie, — myślałem byłem w Tokio... — Co? Co takiego? Co to ma właściwie oznaczać? Mały japończyk, służący hotelowy, szczerząc zębami w przyjaznym uśmiechu pokazywał mi dłoń z rozstawionymi palcami.

Wreszcie zrozumiałem. Była piąta rano. Przed hotelem już oczekiwał samochód. Japońscy oficerowie odwieźli nas na lotnisko, dali mi wskazówki, co do kierunku lotu i zapewnili, że warunki atmosferyczne mają sprzyjające. — Tylko, że te śmigło nie jest w zupełnym porządku, — zauważył jeden z nich, oglądając troskliwie śczerline. Teraz, gdy miałem do przebycia jeden tylko etap, wprawdzie dość długi, bo aż 1.600 kilometrów, nie miałem już skrupułów, — śmigło musiało dociągnąć do Tekjo. Pierwszą część mego etapu — 500 kilometrów, stanowią w dalszym ciągu góry koreańskie. W miarę oddalania się na wschód od Heidzio góry stawały się bardziej pustynne i mniej zamieszkałe. Rozpoczęłem stopniowo wznosić się, by mieć nad morzem wystarczającą wysokość. Gdy doleciałem do morza, byłem już blisko dwa tysiące metrów nad jego poziomem. Morze, o ile zdołałem to spestrzec, było już spokojne. Od czasu do czasu widziałem na dole mały biały żagielek lub szarą sylwetkę parowca, trudną do odróżnienia na tle szarej powierzchni wodnej. Nagle poczułem ostry głód. Zazwyczaj nie jadłem przed lotem lub podczas niego, tym razem jednak widocznie jednostajny krajobraz morski wzbudził apetyt. Kubiak, któremu zakomunikowałem o swoim kłopotcie, wydobyl z głębi kadłuba samolotu parę ciastek i butelkę czerwonego wina, które dźwigaliśmy jeszcze od Warszawy. Wino te było wprawdzie już cokolwiek kwaśne, lecz jakże mi smakowało! Uprzytomniłem sobie w owej chwili, że w Warszawie teraz przecież jest dziesiąta wieczór. Ulicami ciągną oświetlone rzęsiście tramwaje, w teatrach rozbawiona publiczność oklaskuje aktorów, przed dworcem głównym chłopcy wydzierają się w niebogłosey „dodatek nadzwyczajaaa... przesilenie gabinetooo...”